

MARCIN RUSNAK



CZARNOKSIEŻNIK

— Z —

THYHOLM

MARCIN RUSNAK

CZARNOKSIĘŻNIK
Z
THYHOLM



Moim rodzicom

CZARNOKSIĘŻNIK
Z
THYHOLM

1

Heksameron pustych dróg, 40 rok po Upadku Republiki

W domu Nessów panował duszący zapach śmierci. Smród lepił się do języka, zatykał nos, wzerał się w każdą powierzchnię na podobieństwo grzyba. Powietrze stało nieruchomo – okna zasłonięto firanami ciężkimi od kurzu i pajęczyn, od zewnątrz zabito deskami.

Zack otarł czoło wierzchem dłoni, w której ścisnął rewolwer. Skierował światło latarki w głąb pokoju. Karbidówka rzeźbiła w mroku kontury sprzętów, budziła cienie do życia. Jak dotąd nie wydobyła z ciemności niczego szczególnego, ale chłopak dobrze wiedział, że puste domy same z siebie tak nie cuchną.

Coś tu było.

Wsunął się do pomieszczenia i oparł plecami o ścianę. Rozejrzał się czujnie. Duży stół, kilka krzeseł. Szklane odłamki skrzyły się wokół wywróconej witryny. Na ścianie wisiały dwa przekrzywione obrazy olejne, pociemniałe ze starości. W długim, miękkim włosiu dywanu gdzieś tam błyskiwały srebrne sztućce. Poskręcany czerwony obrus przypominał wnętrze rozwleczone przez całą długość pomieszczenia i zmatowiałe od kurzu.

Pusto, pomyślał chłopak. Po raz kolejny otarł czoło. W domu nie było przesadnie ciepło, więc winny musiał być najnowszy wymysł Alana: kurta i spodnie z grubej skóry z gęsto naszytymi stalowymi płytkami. Zack pocił się w tym pancerzu jak słońca na słońcu.

Wrócił na korytarz i poszedł dalej. Deski pod stopami poskrzypywały, światło karbidówki płynęło po ścianach, szarpiąc się z mrokiem o każdą wnękę, kąt, zakamarek. Z zewnątrz dom Nessów wydawał się

niedużą elegancką posiadłością, w istocie jednak był labiryntem pokoi i pokoików, garderób, korytarzy zwyczajnych i serwisowych, jak również pojawiających się zniemacka nisz, w których czaić się mogło dosłownie wszystko, od donicy z zasuszoną paprotką po szczerzącego kły żarłaka. Zack sprawdził już większość parteru i nie znalazł nic niepokojącego, ale wciąż czekały na niego piwnica, piętro oraz strych.

Zajrzał do ostatniego pomieszczenia na parterze – salonu, jak można było wnioskować na podstawie obecności połamanego stolika kawowego, rozprutej sofy i zdemolowanego pianina. Tam znalazł to, czego szukał: ludzkie szczątki. Upewnił się, że nigdzie w pokoju nie czai się wygłodniała bestia, i podszedł bliżej. Ogryzione do czysta kości walały się po podłodze. Kiedy Zack pochylił się nad nimi z latarką, dostrzegł wyraźne ślady ostrych, trójkątnych zębów.

– W porządku – mruknął. – Głupio by było pocić się w tym cholerstwie za marną dyszkę.

Dziesięć aurenów – tyle obiecał im Noel Ness za zbadanie owianej złą sławą posiadłości wujostwa i udowodnienie, że w każdej chwili można tam wkroczyć z ekipą remontową, by przywrócić rezydencji niegdysiejszy splendor. Dziesięć aurenów, jeśli dom okaże się pusty. W przypadku gdyby zgodnie z plotkami krążącymi po okolicy faktycznie żyło tam coś zagrażającego ludziom, zadanie Zacka miało się zmienić z eksploracji w eksterminację, a stawka skoczyłaby wówczas do stu aurenów. Wyglądało na to, że dom pusty nie był, a tajemnicze odgłosy, które czasem słyszano w sąsiedztwie, to coś więcej niż tylko trzask rozsychających się desek.

Zack ruszył na piętro. Kolejne truchło znalazł na schodach. Prawdopodobnie to ono było źródłem odoru: gdzieniegdzie na kościach pozostały psujące się resztki mięsa, a spływający po stopniach dywanik znaczyły brunatne plamy. Chłopak omiótł światłem karbidówki przestrzeń wokół i dopiero potem przyjrzał się trupowi. Pęknięta czaszka. Przetrażone kręgi. Na kościach kolejne ślady trójkątnych zębów. Na żebrach dwie głębokie bruzdy, najpewniej po ostrych pazurach.

Nieco wyżej Zack dostrzegł na stopniach kilka smolście czarnych, ślimakowatych kształtów. Dotknął jednego z nich, wziął go w palce,

rozłamał, ostrożnie powąchał. Wysuszone odchody były pozbawione zapachu i przypominały gigantycznej wielkości nietoperze guano. To, do pary z trójkątnymi zębami, pazurami i siłą wystarczającą do złamania kręgosłupa, dawało...

– Pętłak – mruknął Zack, wycierając dłoń o spodnie. – Kurwa.

Podniósł się. Mocniej podkręcił płomień, palec wskazujący oparł na kabłąku spustowym. Zastanawiał się, co powinien zrobić. Jeśli w domu Nessów kryła się tylko jedna bestia, miał z nią jakie takie szanse, szczególnie jeśli niedawno jadła i była teraz ospała i ociężała. Jeśli jednak czekało ich tu więcej... samotne starcie z parą pętłaków miało tyle samo sensu, ile próba zatrzymania pistoletowej kuli kawałkiem tektury. Gdyby był tu Alan, to co innego, ale rada miasta uparła się, że jeden z Cobsonów ma zostać na zewnątrz, na wypadek gdyby w posiadłości Nessów faktycznie żyło coś niebezpiecznego – jakiś stwór, którego niespodziewana wizyta młodych łowców tylko rozjuszy i wypłoszy na zewnątrz, między bezbronnych mieszkańców Green River.

– Pieprzę to – mruknął Zack, ruszając w górę schodów.

Green River nie liczyło sobie nawet siedmiu tysięcy dusz, ale mogło się pochwalić radą miasta, radami poszczególnych osiedli, szeryfem z kilkunastoosobowym gronem zastępców, a nawet sporym oddziałem milicji obywatelskiej. Nie należało do miejsc, gdzie ludzie znikają bez śladu i nikt się nimi nie interesuje. Zack podejrzewał, że gdyby w domu Nessów urzędowała para pętłaków, bestie musiałyby regularnie polować na sporym obszarze i ktoś by coś zauważył.

Oczywiście mógł się mylić.

Na pierwszą pętlę trafił w dawnym pokoju dziecięcym. Rozpięta nad przewróconą kołyską na sieci z niemal niewidocznej pajęczyny przypominała włochaty sznur upakowany kleksami smoły. Miała ponad trzy stopy średnicy.

Dorosły, pomyślał Zack niechętnie.

Schował rewolwer do kabury, zza pasa wyciągnął nóż. Zaczął ciąć pętlę. Z początku szło mu ciężko, ale ostrze w końcu przebiło wierzchnią warstwę i z rozcięcia popłynęła lepka żywiczna maź. Dalej było już

łatwiej, kolejne włókna szybko się poddawały. W końcu sznur pękł, a na podłogę wyciekła śluzowata masa. Pętla zwisała z nici jak wylinka jakiegoś kosmatego węża.

Zack starł pot z oczu. Było mu cholernie gorąco, a ciało pod skórzanym pancerzem swędziało go coraz bardziej. Nóż wytarł i schował do pochwy, sięgnął po rewolwer.

– Kurwa mać – zaklął, stanąwszy w progu następnego pokoju.

Duża sypialnia musiała szczególnie przypaść do gustu bestii, która rozgościła się w posiadłości Nessów. Ludzkie i zwierzęce kości wałyły się pośród pierza z rozszarpanej pościeli i zasuszonych odchodów. Wysoko nad połamanym łóżkiem wisiała włochata pętla, a kolejna kryła się w szerokiej szafie trzydrzwiowej.

Cały ten dom powinno się puścić z dymem, pomyślał chłopak. Tak byłoby najbezpieczniej. Pogrzebać pętlaka pod stertą płonącego drewna, a następnie postawić na cennej działce zupełnie nowy dom.

Uśmiechnął się krzywo, gdy wyobraził sobie, jaką minę miałby Noel Ness, usłyszawszy podobny pomysł.

Przecinanie kolejnych pętli nie miało sensu, kosztowałyby za dużo czasu i sił. Zamiast tego Zack podsunął łóżko pod szafę, potem zamknął drzwi do pokoju. To musiało wystarczyć.

Dalej czekał kolejny pokój i jeszcze jeden trup. Tym razem był to pies, świeży, rozczłonkowany i potwornie cuchnący. Pod sufitem wisiała następna pętla – zbyt wysoko, by dało się jej dosięgnąć bez drabiny albo wyjątkowo wysokiego stołka. Drzwi do tego pokoju Zack również zamknął za sobą. Na piętrze zostały mu jeszcze dwa pomieszczenia, a oprócz nich strych i piwnica.

To zawsze jest strych, pomyślał ponuro. Strych albo właśnie piwnica. Czemu te cholerne potwory nigdy nie zmajstrują sobie legowiska pod kuchennym stołem albo na środku salonu?

Zamierzał zrobić kolejny krok, gdy gdzieś za jego plecami zatrzeszczała deska. Odwrócił się błyskawicznie, celując w mrok lufą Urizena. Światło karbidówki zamigotało, cienie zatańczyły na ścianach. Korytarz wydawał się pusty, cuchnące powietrze stało jak niewzruszona wodna tafla. Chłopak obserwował cienie, nasłuchiwał. Czekał. Po-

jedynca kropla potu spłynęła mu po skroni, po policzku, wreszcie po brodzie. Nie odważył się jej otrzeć.

Żadnego ruchu.

To tylko trzeszcząca deska, pomyślał. To się przecież zdarza w takich domach.

Wtedy zza zamkniętych drzwi do pokoju z psim truchłem dobiegł go odgłos przypominający trzask mokrego bicia. Zack zareagował natychmiast: przygarbił się nieznacznie, skręcił tułów i strzelił dwa razy z biodra. Celował na słuch, przez cienkie drewno. Za wolno – gdy otworzył drzwi kopnięciem, w blasku karbidówki dostrzegł tylko podrygującą pętlę, nic więcej.

– Szlag – mruknął.

Wcześniej łudził się, że znajdzie pętlaka nażartego i zmożonego snem, otulonego kokonem skórzastych skrzydeł, zwisającego do góry nogami z jakiejś belki. Teraz nie było już o tym mowy. Zaczęły się łowy, a w ciemnym domu pełnym tych przeklętych pętli podział na myśliwego i zwierzynę stawał się kwestią niebezpiecznie umowną.

Zack przeszedł w kąt pokoju i przykucnął plecami do ściany. Karbidówkę położył na podłodze, tak żeby światło padało na możliwie duży fragment pomieszczenia. Rewolweru ani na moment nie zamierzał wypuszczać z dłoni. Załadował pociski w miejsce wystrzelonych, po czym sięgnął do pasa i namacał cztery metalowe ampułki. Wybrał dwie z nich i po kolei uniósł do ust. Zębami wyciągnął miniaturowe koreczki i przełknął zawartość obu pojemniczków. Znajdujący się w pierwszym granulatach z bliźnicy miał nieprzyjemny, gorzki smak, ale już nieraz ratował Zackowi życie. Druga ampułka zawierała słodki jak ulepek ekstrakt z jagód cuerre. Specyfik zaczął działać zaraz po tym, jak chłopak wcisnął metalowe naczynka z powrotem w pętelki na pasie – uderzenie gorąca przyszło nagle, jak zwykle zaskakując swoją siłą, wypełniło żyły płynnym ogniem. To przykre doznanie ustąpiło w mgnieniu oka, a Zack poczuł się lepiej. Przestał się pocić, zniknął gdzieś spinający mięśnie niepokój. Źrenice naraz zaczęły wychwytywać dość światła, by sięgnąć o dobre cztery–pięć kroków głębiej w mrok niż wcześniej. Myśli nie tyle płynęły, ile szybowały, cudownie szybkie i precyzyjne.

– Dobra. Chodź tu, skurwielu.

Poderwał się z miejsca i wyszedł na korytarz. Pewnym krokiem zbliżył się do następnego pokoju i otworzył drzwi kopnięciem. Po-
dążył dalej, nawet nie zaglądając do środka: pracujący na pełnych ob-
rotach umysł podpowiadał mu, że trzask towarzyszący wtargnięciu
byłby inny, gdyby w pomieszczeniu znajdowała się żywa istota.

Zostały ostatnie drzwi, częściowo uchylone, a także otwarta kłapa
i opuszczona drabinka prowadząca na strych. Zackowi się to nie po-
dobało, atak w tym miejscu mógł bowiem nadejść z dwóch albo – wli-
czając korytarz za jego plecami – nawet trzech stron równocześnie.
Zwolnił, szedł możliwie cicho, zerkając to na uchylone drzwi, to znów
na ziejącą czernią dziurę w suficie. Obliznął wargi. Niepokój, stłumiony
przez syrop z jagód cuerre, powoli powracał, przypominał teraz dłoń
trupa gładzącą go czule po ściankach żołądka.

Zack stanął przy drabince. Wsunął stopę pod jej najniższy szcze-
bel, a potem szarpnął w górę. W innej sytuacji musiałby pewnie po-
móc sobie ręką, ale jagody cuerre nie bez powodu kosztowały małą
fortunę. Koła w nienaoliwionych prowadnicach zgrzytnęły i pisnęły,
a drabinka wjechała na swoje miejsce nad kłapą, ta zaś schowała się
w stropie z łagodnym szcęknięciem zatrasku.

Nie musiał się już obawiać ataku z góry, zwrócił się więc twarzą do
wejścia do ostatniego pokoju. Uniósł wyżej karbidówkę i pchnął drzwi.

Kiedyś musiał się tutaj mieścić pokój muzyczny. Pod ścianą stało
małe kanciaste pianinko w obudowie ze srebrzystego drewna księ-
zycowego klonu, w rogu przycupnęła olbrzymia harpuna o fantazyj-
nie powyginanej ramie i dziesiątkach strun oblepionych pajęczynami.
W witrynie pyszniły się flety, piszczałki i dumbasy, a na pulpicie bla-
kły wypełnione nutami karty grubego zeszytu. Jedyna pętla wisiała
tuż przy drzwiach.

Zack stwierdził z zaskoczeniem, że wcale nie jest pusta.

Potężne, czarne łapsko wystrzeliło prosto w niego. Cios padł na-
głe, ale zmysły wyostrzone ekstraktem z jagód cuerre zadziałały pra-
widłowo: Zack uchylił się, a zakrzywione szpony zagarnęły powietrze

sprzed jego twarzy. Chłopak instynktownie rzucił się w tył i równocześnie strzelił z biodra.

Pętla była już pusta, a kula zrobiła dziurę w boazerii.

Zack przywarł plecami do ściany, snop światła karbidówki kierował to na pętlę, to na drzwi.

Na strychu rozległy się tąpnięcia, jedno za drugim, ciężkie i niezdarne, jakby krokodyl próbował biegać na tylnych łapach. Urwały się nagle; stłumione, trzeszczące młaśnięcie sugerowało, że stwór skorzystał z którejś ze swoich pętli. Zack czekał, zasłuchany w łomotanie własnego serca i szum krwi. Ciężkie tąpnięcia się powtórzyły, tym razem na piętrze, gdzieś niedaleko. Sypialnia dziecięca?

Chłopak ostrożnie ruszył w tamtą stronę. Bezszelestnie pokonał prawie cały korytarz, ale gdy miał pchnąć właściwe drzwi, stanął na zdradliwej desce. Ta skrzypnęła jękliwie, a za progiem raz jeszcze rozległ się odgłos przypominający chłostanie pejcem błota. Potwór nie przeniósł się daleko: w pokoju obok coś huknęło, zaszurały roztrzucane meble. Zack zaraz doskoczył do kolejnych drzwi, znalazł się blisko schodów. Kopnął z całej siły i strzelił, gdy tylko dostrzegł ruch. Ciemna przygarbiona postać zawyła rozdzierająco. Położyła po sobie olbrzymie skrzydła i wybiła się z tylnych kończyn. Zack znowu nacisnął spust. Wystrzał rozdarł powietrze, rozdzwięczał się w uszach, ale pętlak zwinął się w locie w czarne wrzeciono i z obrzydliwym młaśnięciem zniknął w kolejnej pętli.

Załomotało na strychu, jakby ktoś przetaczał tam beczkę. Strop zatrzesczczał, pomiędzy rozeschniętych desek posypał się kurz. Zack uniósł broń i strzelił w sufit, możliwie blisko miejsca, gdzie, jak sądził, wylądowała bestia. Odłamki drewna zawirowały w powietrzu, a na górze znów rozległy się pospieszne kroki, ciężkie i niezgrabne. Urizen plunął ogniem, i jeszcze raz, i jeszcze – rozrywał deski śladem uciekającego stwora. Zack wiedział, że walka z bestią pokroju pętlaka to więcej niż kwestia kul i szponów – zazwyczaj wygrywał ten, kto potrafił zachować zimną krew. W tej chwili pętlak przyjął rolę zwierzyny zdjętej strachem, ogłupionej rozpaczliwym pragnieniem przetrwania.

Zack wystrzelił ostatni pocisk i oprócz trzasku przebijanego drewna usłyszał ryk, potem zawodzenie. Chaotyczny rytm ciężkich łąpnieć urwał się, załamał, cielsko runęło z łoskotem.

Prosto na klapę.

Metalowy zatrzask się poddał, właz otworzył się niby wygłodniała paszcza, a drabina zjechała na dół z jękiem prowadnic, ciągnąc ze sobą pętłaka, którego kończyny zakleszczyły się między szczeblami. Stwór zleciał z hukiem na podłogę, aż całe piętro zadrżało. Ze splaszczonego, nietoperzowego pyska uszło bolesne popiskiwanie.

Zack stwierdził, że nie ma czasu przeładowywać Urizena. Schował broń i sięgnął do drugiej kabury. Trzymał tam rewolwer marki Lentham, seryjnie produkowany kawał stali, dobrze przestrzelany i załadowany sześcioma pociskami, na których Alan wrył yueryckie glify. Odciągnął kurek, nie odrywając wzroku od pętłaka. Mógł strzelić, ale z jakiegoś powodu zwlekał. Patrzył, jak potwór nakrywa się skrzydłami, jakby chciał się nimi odgrodzić od świata; jak chowa pod sobą szponiaste łapy. Miał w sobie coś z psa przystępującego do lizania ran. Naraz Zack zdał sobie sprawę, że właściwie szkoda mu tej brzydkiej hybrydy wielkiego nietoperza i małpy.

Wtedy potwór uniósł łeb, wyszczerzył trójkątne zębiska i wygramolił się spod drabinki. Zack strzelił, dwukrotnie, ale bestia jakby prześlizgnęła się między kulami i zamiast w tors oberwała w skrzydła.

Potem skoczyła na Zacka.

Chłopak był zwinny i szybki, a nalewka jeszcze przyspieszała jego naturalne reakcje. Instynktownie przechylił się do tyłu, na wysokości krzyża poczuł barierkę schodów. Pozwolił, by własny ciężar dokończył dzieła, pociągnął go w dół. Za wolno – obszyty stalowymi blaszkami skórzany pancerz ograniczał i spowalniał ruchy. Zack poczuł szarpnięcie, ukłucie gorąca, a zaraz potem rwący ból w boku. Zrobił niepełnego kozła w powietrzu, niezdarnie wylądował w połowie schodów. Pętłak był już nad nim, przechylał się przez balustradę, zamiatając powietrze szerokimi skrzydłami i skrzecząc opętańczo. Zack natychmiast skoczył w dół, pokonując jednym susem kilka stopni. W locie odbił się kopnięciem w bok i potwór nie wyhamował

– wpadł z impetem prosto w ścianę. Dom zatrzęsł się cały, a w ciele pętlaka coś chrupnęło i stwór zwałił się na ziemię. Na krótko – podniósł się zaraz, obnażył zakrzywione sierpy pazurów i zwinął się do skoku. Z jego paszczy uleciał dziki, świdrujący skowyt, a zielonkawę ślepią wpiły się w przeciwnika.

I wtedy Zack strzelił pętlakowi w brzuch. Trysnęła czarna, oleista krew, wrzask ustąpił zdziwionemu ni to prychnięciu, ni stęknęciu. Kolejny pocisk uderzył w szeroką pierś bestii i pchnął ją z powrotem na ścianę. Trzecia kula zahaczyła o łeb, rozłupała potworowi czoło. Chlusnęła posoka, pętlak zwałił się na podłogę i zaczął konwulsyjnie walić łapskami w deski. Szpony złościły bruzdy w drewnie, skórzaste skrzydła szurały o balustradę, między ścianami powoli cichł kwik zarzynanego zwierzęcia.

Zack stanął nad pętlakiem i strzałem w głowę skrócił jego cierpienia. Potem, trzymając się za obficie krwawiący bok, dowlókł się do drzwi wejściowych.

Zemdlał w progu, oślepiiony światłem dnia.

2

Zack był w teatrze trzykrotnie. Pierwsze dwie wizyty miały miejsce dwa lata wcześniej, gdy spędzali ciągnącą się w nieskończoność zimę we Flatfields. Przedstawienia nawet mu się wtedy podobały – wciąż pamiętał kostiumy, scenografię, światła i zabawne teksty, które sprawiały, że cała sala wybuchała śmiechem. Natomiast trzecie podejście okazało się katastrofą: tak zwany teatr eksperymentalny w Hullford wystawił trzygodzinną mękę, w której brało udział tylko dwóch aktorów, ci zaś w kompletnie nijakim wnętrzu wygłaszali okrutnie długie kwestie pełne niezrozumiałych słów. Na domiar złego ktoś chyba poprzestawiał porządek scen, tak że początek usadowił się gdzieś w środku, a wszystko zaczynało się od końca. Zack wyszedł z tego przedstawienia bardziej zmęczony niż po całodniowym polowaniu na pełzacza.

Kilka pierwszych dni po zejściu w domu Nessów przypominało właśnie to nieszczęsne trzecie przedstawienie: serię poszatkowanych i chaotycznie zlepionych scen, które rwały się bez ostrzeżenia jak zetałły materiał.

Przebudzenie. Cisza. Ból w boku. W gardle sucho jak diabli, język niby zeschnięty trup pod warstwą sypkiego piachu. Potem twarz Alana. Czyjś charczący jęk. Sen.

Przebudzenie. Lśniące szpile światła wpadającego przez okno. Pościel skotłowana, nieznośnie gorąca. Cichy brzęk szklanych słoiczeków i fiolek, zapach medykamentów. Potem woda w ustach, zimny, mokry okład na czole. Ulga jak pocałunek matki, jak poskręcana sierść Falstaffa nawijana na palce. Sen.

Przebudzenie. Ostre, wyraźne zapachy, których nazwy pojawiają się w głowie nieproszone. Żyworośl. Stupierza. Czerwona grąkiel.

Maści, kremy, napary, proszki. Nagły powrót samoświadomości. Jestem, myśli Zack. Żyję. Będę żył. A potem spojrzenie w bok, wzrok z trudem ogniskowany na znajomym słoiczku z dużymi żółtymi tabletkami. Merytronidol. Jeszcze żyję. Ale nie wiadomo, jak długo. Zmęczony znowu osuwa się w sen.

Przebudzenie. Twarz Alana – blada, ciemne półksiężycy pod oczami, jasne wargi ułożone w niewyraźny uśmiech.

– Będzie dobrze, Zack. Wychodzisz z tego. Poczytam ci coś, chcesz? *Wolisz Kronikę hrabstwa Murry Merryweathera czy Rosliny bagien i rozliczne beneficja płynące z ich aplikacji Moiry Neckelwitz?*

Jednak umarłem, myśli Zack, zamykając oczy i odwracając głowę. Umarłem i jestem w piekle.

Przebudzenie. Światło dnia. Orzeźwiająco chłodne powietrze wpada przez uchylone okno.

– Zdrowiejesz – mówi Alan. – Za kilka dni będziesz mógł wstać.

Zack spogląda na szafkę, na papierowe koperty z proszkami, na słoiczki z maściami w barwach, od których traci się apetyt.

– Przy okazji wypróbowałem na tobie kilka nowych leków – dodaje brat.

– Dzięki, że zapytałeś mnie o zdanie.

– Przecież nie pytałem – odpowiada Alan, marszcząc brwi.

Zack uśmiecha się i zostawia to bez komentarza. Zamyka oczy, tak bardzo chce mu się spać.

– Nawiasem mówiąc – słyszy głos Alana – nie dopracowałem jeszcze dawkowania, więc mogą wystąpić drobne skutki uboczne. Kołatanie serca. Zaburzenia wzroku i słuchu. Krwawienie z odbytu. Nic, czym musiałbyś się przejmować.

Sen.

Przebudzenie. Wieczór. Światło świec, zapach kolacji. Gęsty rosół na mięsie, tarte buraki, tłuczone ziemniaki ze śmietaną. Słodki, lekko musujący cydr.

– Jak stoimy z finansami? – pyta Zack. Kojarzy, co się wokół niego dzieje. Pokój w pensjonacie kosztuje, dobre jedzenie też. Leki pozerają forszę tak, jak dzieci pochłaniają łakocie. Dni płyną, a kuracja trwa.

– Nie jest źle. Ness próbował się targować, ale koniec końców wypłacił całą stówę. Oprócz tego dwadzieścia aurenów dostałem od szeryfa.

– Od szeryfa? Myślałem, że pętłaki nie znajdują się na miejskim indeksie.

Miasta, które miały jako tako funkcjonujący ośrodek władzy, co kilka lat wydawały bestiariusze: indeksy zagrażających ludności stworzeń, za których zabicie przysługuje nagroda. Sumy nie były wielkie, szczególnie wzięwszy pod uwagę ryzyko, ale lepsze takie niż żadne.

– Nie – przyznaje Alan. – Ale powiedziałem, że to był looperghast.

– Przecież pętłak to jest looperghast. To po prostu inna nazwa.

– My o tym wiemy, szeryf nie. W tutejszym indeksie nie ma pętłaka, ale przy haśle „ghast” figuruje kwota dwudziestu aurenów. Proste, nie?

– Alan, jesteś łgarz i świnia, wiesz o tym?

– Wiem. Dokończ kolację i idź spać. Chcę w spokoju poczytać, a ty nic tylko gadasz.

Sen. Kurtyna. Koniec przedstawienia.

3

Heksameron długich dni, 40 rok po Upadku Republiki

Gdy od zajścia w rezydencji Nessów minęły blisko dwa obroty, Alan wyjechał do Astorii – liczącej blisko osiemdziesiąt tysięcy mieszkańców stolicy dawnego hrabstwa Murry, leżącej o sześćdziesiąt mil na zachód od Green River. Musiał uzupełnić zapasy leków, ziół i innych substancji niedostępnych w miasteczku, poza tym chciał zajrzeć do Steckelenhelma.

Boderick Steckelenhelm był jednym z trzech antykwariuszy – pozostali dwaj mieszkali w Lion's Head i w Fort Valens – którym Alan płacił za wyszukiwanie rzadkich, trudno dostępnych książek, manuskryptów, listów i dzienników. Interesowało go wszystko, co traktowało o spotykanych na kontynencie potworach, ale za pośrednictwem tych trzech handlarzy nabywał też często co ciekawsze przedwojenne pisma z zakresu magii, okultyzmu, demonologii, medycyny, farmacji czy historii naturalnej. Ponadto wszyscy trzej antykwariusze z racji swego zawodu regularnie wchodzili w kontakty z mieszkańcami najróżniejszych miast i miasteczek, należącymi do praktycznie wszystkich sfer i środowisk, poznawali więc przy okazji rozmaite plotki i informacje, z których Alan potrafił później zrobić użytek.

Nawiasem mówiąc, to właśnie Steckelenhelm skontaktował ich z Noelem Nessem.

Zack pod nieobecność brata nie próżnował. Zależało mu, by jak najprędzej odzyskać sprawność i wrócić na szlak, szukać kolejnych zleceń. Dlatego sporą część dnia przeznaczał na ćwiczenia: biegał, robił pompki, brzuski i przysiady, rozciągał się. Przez resztę czasu zajmował

się innymi sprawami: czyścił broń, ostrzył noże, nabijał puste łuski, naprawiał ubrania. Dużo spał. Dobrze jadał, a wieczorami spacerował po Green River albo zamykał się w pokoju z butelką piwa lub dwiema.

Kiedy kilka dni po walce z pętlakiem odzyskał zdolność logicznego myślenia, uznał, że odpoczynek dobrze mu zrobi. Sądził, że z przyjemnością się poleni i odsapnie od ciągłych polowań i potyczek z żywotrupami, żarłakami, pełzaczami, looperghastami, cmentarnicami... ale szybko zaczęło mu czegoś brakować, a bezpieczna rutyna kolejnych dni drażniła go coraz bardziej. Prawdę mówiąc, nie mógł się doczekać, aż włoski znów zjeżą mu się na karku, a w dłoni poczuje ciężar Urizena.

Domyślał się jednak, że ta chwila nie nadejdzie zbyt szybko. Alan, choć na pozór traktował wszystko z obojętnością, przeżywał każdy uraz brata i upierał się, żeby ten miał dość czasu, by wrócić do pełni zdrowia i sił. Ile razy Zack zostawał ranny – nawet jeśli uraz okazywał się stosunkowo niegroźny – nastrój Alana przypominał dziecięcą huśtawkę: okresy matczynej troski mieszały się z napadami skrajnej drażliwości. Zack sądził, że wie, co jest tego przyczyną: Alan miał wyrzuty sumienia, że to nie on nadstawia karku. Oczywiście odwał mnóstwo roboty: studiował księgi, szperał w archiwach, zasięgał języka, przygotowywał rozmaite mikstury i dekokty, rył w pociskach miniaturowe runy i glify. Często też razem polowali na potwory – Zack uzbrojony w rewolwery, a Alan z kuszą i rosnącym arsenałem osobliwych, coraz pewniej używanych magicznych sztuczek – jednak to pierwszy z nich przeważnie szedł przodem, to on najczęściej mierzył się z bestiami i on zbierał ciężki, gdy coś szło nie tak.

Dlatego Zack był szczerze zdumiony, gdy Alan wrócił któregoś wieczora i bez słowa powitania oznajmił:

– Pakuj się. Jedziemy do Thyholm.

Zack znieruchomiał z napoczętą butelką uniesioną do ust.

– A gdzie to, do diabła, jest?

– Na półwyspie Blythe.

Zack nie znał się na wielu sprawach tak dobrze jak Alan, ale o geografii kontynentu miał jakie takie pojęcie. Półwysep Blythe. Dobrze ponad pięćset mil na północy wschód. Cholernie daleko.

Gwizdnął przeciągle, po czym łyknął piwa i zapytał:

– A co takiego jest w tym całym Thyholm, czego nie ma nigdzie bliżej?

Kiedy Alan mu odpowiadał, jego oczy się skrzyły, a na twarzy igrał uśmiech dziecka obdarowanego hojnym i niespodziewanym prezentem.

– Dom Zaira Ghana.

Heksameron orła, 40 rok po Upadku Republiki

Zair Ghan był człowiekiem legendą. Nazywano go Magiem z Le-bros, Czarnoksiężnikiem Północy, Tkaczem Runów. Znany na całym kontynencie, był bohaterem większej liczby opowieści niż ktokolwiek inny, może za wyjątkiem Achillesa Le Strange'a. Podobnie jak słynnemu łowcy, Ghanowi zdarzało się polować na potwory, ale jeśli wierzyć podaniom, zamiast broni palnej korzystał z magicznych mocy: powalał przeciwników podmuchami huraganu, ciskał w nich piorunami kulistymi, łamał im kości i przetrącał karki samą siłą woli. Otaczała go ponura sława człowieka bezlitosnego, podstępnego, wyzbytego skrupułów i zabójczo skutecznego. Starsze kobiety czasem straszyły nim dzieci.

Sprawdzonych informacji o Zairze Ghanie było tak naprawdę niewiele. Gwen Johnston łudziła się, że w ciągu kilku następnych dni zdoła to zmienić. Raz jeszcze spojrzała na listę pytań zapisanych na kartce wyjętego zeszytu. Na ile spośród nich uzyska odpowiedzi? Nie miała pojęcia. Liczyła natomiast, że cała ta podróż pozwoli jej przynajmniej napisać artykuł, który pokryje związane z nią wydatki.

No i że zdoła przeżyć.

Zamknęła zeszyt i wrzuciła go do plecaka. Potem dopięła guzik pod brodą, podniosła wysoki kołnierz. Murowany budynek, pod którego ścianą siedziała, zapewniał jaką taką ochronę przed wiatrem od rana do nocy smagającym całe wybrzeże, ale i tak było nieznośnie chłodno. Większość oczekujących na przeprawę chowała się wewnątrz, ale Gwen miała dość zaduchu i zapachu potu, podlej wódki i jeszcze podlejszego tytoniu.

Zapatrzyła się na czterech mężczyzn siedzących wokół wozu załadowanego połyskującymi czarno-srebrzystymi bryłkami. Poławiacze węgla, jak ich nazywano w tych stronach, wydawali się nie zwracać uwagi na lodowaty, porywisty wiatr szarpiący ich ubraniami. Siedzieli w milczeniu, stopniowo opróżniając zataczającą powolne kręgi butelkę z ciemnego brązowego szkła. Wszyscy mieli krótkie nogi i szerokie barki, ramiona i karki spuchnięte od mięśni, cerę ogorzałą, ale też w szczególny sposób poszarzałą, podbarwioną czernią. Jakby węglowy brud wgryzł im się w skórę.

Wymieniali czasem zdawkowe uwagi, ale Gwen rozumiała piąte przez dziesiąte. Od trzech lat mieszkała w Hølmbergen, największym mieście Półwyspu Blythe, i przyzwyczała się do ubogacania języka powszechnego – zwanego też mową Republiki – wyrażeniami charakterystycznymi dla tego regionu. Jednak tutaj, na wybrzeżu, choć od Hølmbergen dzieliło ich ledwie czterdzieści mil, wszystko brzmiało inaczej, bardziej twardo i szorstko, a obce dla Gwen zwroty stanowiły nie kulturowy smaczek, lecz integralny element komunikacji.

Jeden z mężczyzn, chyba najmłodszy z nich, popatrzył w jej stronę. Robił to już wcześniej. Jego spojrzenie nie pozostawiało złudzeń co do intencji, więc dziewczyna na wszelki wypadek usiadła tak, aby lepiej było widać kaburę na jej lewym biodrze, w której drzemała krótko oberżnięta dwururka. Mężczyzna skrzywił się, splunął gęstą plwociną pod własne nogi i pociągnął z butelki.

Gwen spojrzała na rzekę, a potem dalej, na widoczne w oddali zabudowania Thyholm. Miała dość czekania. Chciała jak najprędzej wejść na prom, a potem dotrzeć do hotelu i usiąść przed ogniem, wypić kubek grzanego wina albo kilka kieliszków czegoś mocniejszego. Nic jednak nie wskazywało na to, by miało to nastąpić w niedalekiej przyszłości: prom czekał przy brzegu, a jego właściciel wraz z pomocnikami wciąż marudził wewnątrz murowanego budyneczku. Żona przewoźnika zdzieraała z podróżnych jak wszyscy diabli, każąc płacić krocie za każdą miskę zupy i każdy naparstek wykręcającego pysk samogonu, nie zależało jej więc, by prom kursował częściej niż to abso-

lutnie konieczne. Wszak im dłużej ludzie czekali na przeprawę, tym więcej grosza zostawiali u niej, a nie w knajpach Thyholm.

Dziewczyna popatrzyła w drugą stronę, na południowy wschód, a więc i na drogę, która przywiodła ją do przeprawy. W oddali dojrzała dwie postacie na koniach. Nie miała nic innego do roboty, więc obserwowała podróżnych, próbowała łowić wzrokiem kolejne szczegóły. Kapelusze naciśnięte głęboko na głowy, targane wiatrem wełniane opończe. Wypchane juki i zrolowane koce sugerowały ludzi przywykłych do życia w drodze. Gdy znaleźli się bliżej, u jadącego po lewej dostrzegła pas z dwoma rewolwerami. Jego towarzysz miał przy siodle kołczan z krótkimi strzałami oraz coś, w czym Gwen po namyśle rozpoznała kuszę ze zdjętą cięciwą. Potem stwierdziła, że to nie mężczyźni, ale jeszcze młodzieńcy, prawdopodobnie mniej więcej w jej wieku. Wiatr co rusz próbował im zerwać kapelusze z głów i dziewczyna z zaskoczeniem odkryła, że jeden z nich ma włosy rude, drugi zaś niemal zupełnie białe. Uderzająco podobne rysy twarzy nie pozostawiały wątpliwości, że są braćmi.

– Niech mnie – mruknęła.

Gdy znaleźli się bliżej i zsiadli z koni, usłyszała, o czym rozmawiają.

– Lepiej mnie zostaw kwestie finansowe – rzekł białowłosy.

– A to niby dlaczego?

– Bo mało kto korzysta tutaj z aurenów. Mają w obiegu inne pieniądze.

– Myślisz, że się nie połapię? – Rudy prychnął z niedowierzaniem.

– Na litość Siedmiorga, może nie znam nazw wszystkich rzek w promieniu pięćdziesięciu mil, ale chyba poradzę sobie z kilkoma cholernymi blaszkami.

– Jak chcesz. – Białowłosy wzruszył ramionami. – Główną walutą Półwyspu Blythe jest køren. Køreny są trzech rodzajów: czerwone, srebrne i złote. Czerwonych i srebrnych używa się na północy, srebrnych i złotych na południu, wszystkich trzech natomiast w okolicach Thyholm. Różnią się zawartością złota i domieszkami. Na północy srebrny køren wart jest dwóch czerwonych, na południu złoty wart

jest trzech srebrnych. Ale w Thyholm stosunek jest inny: złoty stanowi równowartość dwóch srebrnych, a srebrny dwóch i pół czerwonego. Poza tym na północy czerwony køren dzieli się na dwanaście skojców, a skojec na dwadzieścia fennów. Jednak na południu srebrny køren dzieli się na sto ørn. Sytuacja nieco komplikuje się w Thyholm, gdzie...

– Dość – uciął rudy. – Zrozumiałem. Ty zajmujesz się finansami.

Gwen ruszyła w ich stronę. Po drodze wyciągnęła papierosa z prostej metalowej papierošnicy i wsadziła go między wargi.

– Uratujecie damę w opałach? – zapytała, przystając obok młodzieńców.

Ten rudy był lepiej zbudowany, do tego całkiem przystojny. Miał ładne oczy. Rzucił się zaraz do szukania czegoś po kieszeniach. Gwen nie wiedziała, czy to wrodzona uprzejmość, czy może chłopak po prostu dawno nie widział niczego, co ma biust i krągłe biodra.

Jego brat stał nieruchomo i tylko na nią patrzył. Nie w taki sposób, jak tamten na wozie z węglem, nie było bowiem w jego spojrzeniu za grosz apetytu – tylko ciekawość. Z bliska okazał się błądy i chudy. Oczy miał bardzo jasne, szare, może odrobinę podbarwione zielonią. Hipnotyzujące. W ogóle na pierwszy rzut oka widać było, że jest w nim coś dziwnego, może nawet nieludzkiego.

Rudy wyłowił z kieszeni metalową zapalniczkę i podał Gwen ogień, osłaniając płomień dłonią. Nachyliła się, zaciągnęła, wydmuchała dym, który zaraz rozwiął się na wietrze.

– Zawrzyjmy układ – powiedziała. – Jeśli zgadnę wasze imiona, do czasu przeprawy będziecie musieli zabawiać mnie rozmową. Jeśli mi się nie uda, postawię wam po misce tego, co ta kobieta w środku ma czelność nazywać zupą.

Młodzieńcy wymienili zdziwione spojrzenia, po czym równocześnie wzruszyli ramionami, przystając na propozycję. Gwen uśmiechnęła się szeroko. Raz jeszcze zaciągnęła się papierosem i powiedziała, wskazując ich kolejno palcem.

– Ty jesteś Alan. A ty nazywasz się Zack.

Malujące się na twarzach młodzieńców zdziwienie odrobinę zbiło ją z tropu. Chciała nawiązać rozmowę, a nie sprawić, że będą patrzeć na nią jak na ulicznego sztukmistrza.

– Skąd...? – zapytał ten rudy.

– Żartujecie, prawda? – Gwen zachichotała. – Przecież jesteście Alan i Zack Cobsonowie, łowcy potworów, Diabły z Dzielnicy Świętych. Co wy gazet nie czytacie?

5

W ciągu mniej więcej dwóch godzin, które minęły, nim rozpoczęto przygotowania do przeprawy, dziewczyna, która przedstawiła się jako Gwen Johnston, zdążyła opowiedzieć im sporą część historii swojego życia. Dowiedzieli się między innymi, że została sierotą, mając siedem lat, gdy jej rodzice zginęli podczas epidemii czarnopłasu. Pochodziła z Little Wharf w dawnym hrabstwie Huddleham, a od siódmego do piętnastego roku życia tułała się od jednych krewnych do drugich, bo wszyscy prędzej czy później mieli jej serdecznie dość. Przed trzema laty zawiąła do Hømsbergen, gdzie mieszkał kuzyn matki, redaktor „Hømsbergen Kronikær”, najpoczytniejszej gazety Półwyspu Blythe, który zdecydował się ją przygarnąć. Wtedy też zaczęła pracować dla dziennika jako goniec. Kilka obrotów temu opublikowała w nim pierwszy artykuł.

Do Zacka docierała może połowa słów Gwen. Musiał się pilnować, żeby co jakiś czas odwracać od niej wzrok, inaczej gapiłby się na nią bez przerwy. Do wizerunku wioskowego idioty brakowałoby mu tylko szeroko otwartych ust i śliny cieknącej po brodzie.

Nie chodziło nawet o to, że była ładna – choć o to też. Podobały mu się jej pełne usta i tych kilka bladych piegów na nosie. Podobały mu się jej włosy barwy miodu: niesforna grzywka i króciutka kitka z tyłu. Podobała mu się jej dziewczęca uroda i to, jak prezentowała się w przydużej męskiej kurtce. Ważniejszy był jednak fakt, że Zack – choć miał absolutną pewność, że nigdy wcześniej jej nie spotkał – nie mógł się pozbyć wrażenia, że ją zna. Jeszcze zanim popatrzyła mu w oczy, wiedział, że dziewczyna ma zielone tęczęwki. Zanim się uśmiechnęła, wiedział, że uśmiechowi towarzyszą dołeczki w policz-

kach. Zanim powiedziała choć słowo, wiedział, jak będzie brzmiał jej głos.

Przerażało go to i fascynowało równocześnie.

– Wciąż nie wyjaśniłaś – zauważył w pewnym momencie Alan – jak to możliwe, że znasz nasze imiona.

Gwen wyciągnęła z plecaka wymięty egzemplarz „Kronikæra”. Przez chwilę przerzucała kartki, po czym podsunęła im stronę wypełnioną drobnym maszynowym drukiem. Złożony masywną czcionką tytuł brzmiał *Diabły z Dzielnicy Świętych: Bestia z El Fontano*. Alan wyrwał go jej z dłoni i zaczął czytać.

– Co... co to jest? – zapytał Zack.

– Historie o waszych przygodach. Ukazują się raz na heksameron. Nasi czytelnicy bardzo je lubią. Choć podejrzewam, że w pewnych szczegółach te opowieści mogą rozmijać się z prawdą...

– Jak na przykład to, że nigdy nie byliśmy w El Fontano – zauważył Zack. – Gdziekolwiek to jest.

– Na przykład.

– Dodali nam ładnych parę lat – burknął Alan znad gazety. – Bohaterowie są przed trzydziestką. Do tego ja paradyję w jakimś habicie i ciągle się wymądrzam, a ty całujesz tak, że kobiety mdleją ci w ramionach. Same bzdury. Zgadza się chyba tylko kolor włosów i to, czym się zajmujemy. Chociaż nie wiem, po kiego diabła mielibyśmy zasażać się z bronią palną na kolczosplot Hawkinsa. Każdy dureń wie, że te cholerstwa można poważnie zranić wyłącznie ogniem.

Zack, który nie miał bladego pojęcia, czym jest kolczosplot Hawkinsa, postanowił przemilczeć tę kwestię.

– O co chodzi z tą Dzielnicą Świętych?

Gwen popatrzyła na niego, jakby właśnie zapytał, po czym odróżnić dzień od nocy.

– Eee... no bo... tam się wychowaliście, prawda?

– Tam? To znaczy gdzie?

– W Saints. W Lion's Head. W Dzielnicy Świętych. Wojownicy kapłani Sahry Li zaopiekowali się wami i nauczyli wszystkiego.

– Wychowaliśmy się w Saints – przyznał Alan. – Tyle że Saints to nazwa małej osady niedaleko Lion’s Head. Już jej nie ma. I na pewno nie nauczyliśmy się niczego od kapłanów Sahry Li.

– Hm – odparła Gwen. – Może i tak, ale wersja z Dzielnicą Świętych bardziej mi się podobała.

Jakiś czas potem drzwi do budyneczku stały otworem i zaczęły się przygotowania do przeprawy. Przewoźnik i jego pomocnicy wprowadzili cztery konie ze stajni i zaciągnęli je na prom, gdzie zwierzęta zajęły miejsca na specjalnych bieżniach połączonych z kołami łopatkowymi na obu burtach łodzi. Potem zaczęto wpuszczać na pokład podróżnych, którzy zawczasu uiścili opłatę. Ludzie wylewali się z murowanego budyneczku rumiani od alkoholu i panującego wewnątrz ciepła.

– Lake! – krzyknęła dziewczyna, machając do kogoś. – Lake, tutaj!

Tuż przed wejściem na prom dołączył do nich mężczyzna wywołany przez Gwen. Nosił okulary i był odrobinę niższy od Zacka, z wydatnym brzuchem i policzkami pokrytymi szarą zmatowiałą szczecinią. Musiał mieć pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat. Ledwo trzymał się na nogach i czekał w regularnych odstępach, zionąc na wpeł przetrwoną gorzałą.

– Pozwólcie, że przedstawię – zaoferowała się Gwen. – Ten oto dżentelmen to nikt inny jak sam Gradham Lake, emerytowany włamywacz i niegdysiejszy członek słynnego gangu Pustynnych Węży. Panie Lake, oto Alan i Zack Cobsonowie, znani też jako Diabły z... Diabły z Saints. Na pewno się cieszą, widząc pana w tak znakomitej formie.

– Daj spokój z tym protekcyjnym tonem, smarku – burknął mężczyzna – inaczej przełożę cię przez kolano i tak spiorę, że potem będziesz syczeć z bólu, jak ktoś bodaj zerknie na twój chudy tyłek.

Na Cobsonów nawet nie spojrział – wkroczył na prom, po czym uczepił się barierki na burcie jak dawno niewidzianego przyjaciela.

Chwilę później rozległ się stukot kopyt na deskach bieżni, rozskrzypiały się przekładnie i koła, łopaty zapluskwały w wodzie. Prom odbił od brzegu i ruszył w poprzek rzeki.

Zack rozejrzał się dookoła. Rzeka miała w tym miejscu jakieś dwieście jardów szerokości. Z brzegu jawiła się gładką ołowianą wstęgą, ale nie minęła minuta, a prom zaczął się kołysać na falach, a podróżni chwytali się czego popadnie. Wiszący na barierce Lake wydał z siebie cichy, gardłowy jęk.

– Popatrzcie – powiedziała Gwen.

Wiatr rozerwał wreszcie grubą warstwę chmur i spomiędzy burych obłoków wyłoniło się intensywnie niebieskie niebo, a wraz z nim południowe słońce liżące okolicę ciepłymi, złocistymi promieniami. Miłą dalej rzeka uchodziła do morza, już nie ołowianoszara, ale zielononiebieska i rozmigotana. Zackowi wydawało się, że mimo odległości widzi spienione grzywy fal. Skały ciągnące się po obu stronach rzeki jakby powstydzily się swej dotychczasowej markotnej szarości i przyoblekły się w kolory: tu pojawiła się odrobina purpury, tam nuta żelazistej czerwieni, gdzie indziej ślad gołębiej mieszanki zieleni i fioletu.

– Piękne – stwierdziła dziewczyna.

Przez poprzednie dni Zack był obojętny na urodę Półwyspu Blythe. Prawdę powiedziawszy, miał już dość tego monotonnego krajobrazu, pagórkowatego i skalistego, mającego za całą roślinność kępy szałwii i przedwcześnie pożółkłych traw, niskie cierniste krzewy i węgętujące w przykrym osamotnieniu rachityczne drzewa. Wiatr wiał tu bez przerwy, a na niebie wiecznie kotłowały się chmury barwy węglowego dymu. Półwysep Blythe był najdalej wysuniętym na północny zachód punktem kontynentu. Odcinał się swoim sierpowatym kształtem od usianego fiordami Wybrzeża Wiatrów i sterczał niby złośliwa drzazga pomiędzy Morzem Białym na zachodzie a Morzem Granicznym na północy. Blżej wybrzeża słyhać było zgiełk fal tłukących o kamienisty brzeg, jakby sam Inan Mar, Pan Wód, znudził się tym miejscem i postanowił wymazać je z map.

Teraz jednak Zack musiał przyznać Gwen rację. Widok faktycznie był piękny.

Gdy tylko o tym pomyślał, prom uniósł się na większej fali i opadł gwałtownie. Gradham Lake, wciąż przyklejony do barierki, chrząknął, stęknął, a następnie wychylił się przez burtę i zwymiotował.

Kilka minut później wylądowali na drugim brzegu. Pasażerowie zeszli z promu i większość z nich udała się prosto w stronę Thyholm.

– Co powiecie na spacer? – Gwen zwróciła się do Cobsonów. – Stąd do Thyholm jest niecała mila drogą, ale możemy się przejść w dół rzeki, do morza, i dotrzeć do miasteczka na około, przez plażę. Lake wygląda, jakby mogło mu się przydać kilka chwil na powietrzu i odrobina ruchu.

Wiatr ani myślał ustać, ale chmury rozstąpiły się na dobre i słońce zapewniało dość ciepła, by pomysł nie wydawał się kompletnie chybiony. Lake wyglądał co prawda, jakby wolał zwinąć się w kłębek i zasnąć, jednak nie protestował.

– Dobrze – zdecydował Alan.

Gwen i jej znajomy mieli ze sobą solidnie wypchane plecaki, które Cobsonowie uwiązali do siodła swych prowadzonych za uzdy wierzchowców. Ruszyli wzdłuż rzeki. Szum fal powoli stawał się coraz wyraźniejszy. Na tle chabrowego nieba białe sylwetki mew i większe, czarno-brązowe, należące do malibranów zmagaly się z szaleńczymi podmuchami.

– Nie wierzę w przypadki – powiedziała w pewnym momencie dziewczyna. – Dlatego myślę, że jesteście tutaj z tego samego powodu, co my. Prawda?

– Do diabła, dziewczyno! – sapnął wściekle Lake.

– A jaki to powód? – zapytał Alan.

– Wy pierwsi – rzuciła Gwen z rozbajającym uśmiechem.

Alan milczał.

– Dostaliśmy zlecenie – przyznał Zack.

– To tak jak my. To znaczy tak jak Lake. Ja tu jestem na doczepkę. Włamywacz wymruczał krótką serię wulgaryzmów, ale dziewczyna nie zwracała na niego uwagi.

– Jakie zlecenie dostaliście?

Zack zerknął na Alana. Białowłosa nie palił się do odpowiedzi, wydawał się jednak bardziej zainteresowany okolicą niż tym, co zostanie ujawnione.

– Podejrzewam, że słyszałaś o Zairze...

Nie zdążył dokończyć, a Gwen klasnęła, po czym wykonała w miejscu kilka ruchów, które miały chyba stanowić coś na kształt tańca zwiastwa.

– Tak! Tak! – cieszyła się. – Zair Ghan i Diabły z Saints! Na smrodliwe gacie wszystkich świętych, ależ to będzie tekst! Pieprzona petarda!

Zack spojrział na Lake'a. Pewne rzeczy zaczęły układać mu się w głowie. Wyglądało na to, że włamywacz został wynajęty w tym samym celu co oni – aby umożliwić bezpieczne wejście do rezydencji należącej do Zaira Ghana. Gwen natomiast – chłopak wciąż nie był w stanie rozgryźć relacji łączącej ją z Lakiem – zamierzała im towarzyszyć, żeby później opisać wszystko na łamach gazety.

– Zwariowałaś – stwierdził Alan.

Dziewczyna przystanęła.

– A to niby czemu?

– Chcesz się włamać do domu największego czarnoksiężnika naszych czasów, a potem przyznać się do tego w prasie? I pewnie jeszcze podać nazwiska towarzyszących ci osób?

– Kiedy tak to przedstawiasz, faktycznie nie brzmi to najlepiej – przyznała Gwen, ale nie wyglądała na strapioną. – Nieważne. Coś wymyślę. Pozmieniam nazwiska, opublikuję to pod pseudonimem... Zresztą sama nie wiem. Zobaczysz. Ale takiej historii nie przepuszczę.

Chwilę później znaleźli się nad brzegiem. Choć wydawało się to niemożliwe, wiatr był tutaj jeszcze silniejszy, aż trudno się oddychało. Rozfalowane ciemnogrnatowe morze tłuło zapamiętałe o skały, pokrywając kamieniste plaże lśniąca pianą.

Nawet w odległości dobrych trzydziestu kroków od linii wody ziemia usiana była różnymi morskimi skarbami. Było tam sporo mniejszych i większych bryłek węgla o czerni przetrąconej sino-srebrzystą nutą, zdarzały się małe zielone szkiełka przypominające nefrytowe paciorki, a także drobiny bursztynu oraz skorupy wszelkich rozmiarów, kształtów i barw: czarno-purpurowe muszle małżów, poskręcane pomarańczowe rożki krabów pustelników czy pancerze ich większych, tygrysi kuzynów, płaskie i twarde, pełne żłobień i rys. Ze skalnej jamy, do której nie docierała woda, wychyliła łeb nieduża

popielata jaszczurka, w innej pośpiesznie skrył się wąż, dotychczas wygrzewający się na słońcu w kamiennej niecce. W zalewanych wodą sadzawkach pływały się skorupiaki i płazińce.

Przeszli wzdłuż brzegu jakieś dwieście jardów, kiedy Zack dostrzegł na brzegu grupę osób. Nieopodal ogniska osłoniętego od wiatru półksiężycem usypanym z kamieni stał nieduży dwukołowy wózek. Kilkunastoletni chłopiec oraz siwy staruszek siedzieli przy ogniu, każdy miał pod ręką strzelbę. Para małych dzieci wędrowała po plaży i zbierała coś do plecionych koszyków. Pozostali – dwaj chłopcy odrobinę młodsi od Cobsonów oraz dwóch dorosłych mężczyzn – brodzili w wodzie po kolana. Raz po raz podnosili z dna jakieś przedmioty i umieszczali w niesionych torbach.

– Co oni robią? – zainteresował się Zack.

– To poławiacze węgla – odparła Gwen. – W tej okolicy morze wyrzuca na brzeg sporo doskonałego węgla zwanego morskim. Tu-tejsi wyławiają go i suszą. Sprzedają go spółce węglowej, a ta wiezie go pociągami do Høllmsbergen i dalej, w głąb kontynentu.

Zack pomyślał, że nigdy w życiu nie chciałby wykonywać podobnego zajęcia. Jako dziecko lubił kąpiele w Morzu Białym, ale to było w Saints, prawie sześćset mil na południe. Masy wody niesionej ciepłymi prądami miały tam okazję dodatkowo nagrzać się w zaciszu zatoki. Tutaj lodowate fale z pewnością kęsały aż do kości, a wiatr w jednej chwili wysysał z ciała resztki ciepła, poławiacze zaś chodzili w morzu całymi godzinami, bo tylko w ten sposób, jak tłumaczyła Gwen, mieli szansę zarobić dość pieniędzy, by przeżyć. Zack zobaczył teraz, że skórę mają natartą jakąś żółtoszarą substancją, zapewne tłuszczem, podejrzewał jednak, że taka warstwa ochronna czyniła tę pracę nie tyle znośną, ile w ogóle możliwą.

Zastanawiał się, jak wiele osób trudni się tym fachem i z czego właściwie żyją inni mieszkańcy równie niegościnnych terenów, gdy Gwen oznajmiła:

– Thyholm było kiedyś bogatym miastem. Wśród pobliskich wzgórz wydobywano złoto, srebro, nikiel. Wybrukowano wtedy ulice, uruchomiono gazownię. Po zmroku oświetlały je dziesiątki latarni.

– Potem złoto się skończyło, ale natrafiono na pokłady węgla – dodał Alan – wydobywanie trwało więc w najlepsze. Dopiero kiedy większość zasobów się wyczerpała, miasto zaczęło podupadać. Trochę ludzi wciąż robi w kopalniach, ale to garstka tych, co dawniej. W szczytowym okresie w Thyholm i najbliższej okolicy mieszkały pewnie ze cztery tysiące ludzi. Teraz... w najlepszym razie trzecia część tego. Miasto jest w dużej mierze zrujnowane i opuszczone; latarnie przetopiono, aparaturę z gazowni rozmontowano i przewieziono do Hømsbergen. Od czasów prosperity dużo się tutaj zmieniło.

W spojrzeniu, którym obdarzyła go Gwen, zdumienie mieszało się z podziwem.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Słyszałaś kiedyś o książkach?

– Och, bardzo śmieszne. Cwaniak się znalazł.

Kawałek dalej Zack ujrzał olbrzymiego kraba. Skorupiak miał smukłe, pajęczko długie nogi oraz głowotułów pokryty białoczerwonym pancerzem. Niepokojący był już sam jego rozmiar – rozpiętość odnóży sięgała pewnie dobrych sześciu jardów – w dodatku zwierzę poruszało się bardzo szybko i zwinnie. Spacerowało w płytkiej wodzie, od czasu do czasu zanurzając w niej nieproporcjonalnie duże szczypce.

– O kurwa – jęknął Lake.

Zack wyciągnął Urizena z kabury i odciągnął kurek. Od kraba dzieliło ich może ze sto kroków.

– Spokojnie – powiedziała Gwen. – Zwykle nie atakują ludzi. Polują tylko na ryby i ptaki, żywią się też żyjącymi w morzu mięczakami. No i padliną. To raczej my na nie polujemy. Ponoć mają bardzo smaczne mięso.

– Nie wiedziałem, że osiągną aż takie rozmiary – przyznał Alan.

Gwen wzruszyła ramionami.

– Efekt mutacji.

Przez kilka kolejnych minut szli w milczeniu. Mogli już dostrzec zabudowania Thyholm, niskie domy o nielicznych okienkach i dachach poznaczonych łatami blachy. Później ujrzeni przystań. Zack był zaskoczony, widząc, jak wiele pracy włożono, by ten niegościnnie

fragment wybrzeża przystosować do funkcji portu. Brzeg zabezpieczała masywna betonowa opaska, z wody zaś sterczały dwa rzędy falochronów: dalej stary, miejscami poprzerwany i pełen ubytków kamienny nasyp, a bliżej przystani szeroka betonowa ściana. Na skraju portu stał pomnik przedstawiający jakiegoś człowieka. Zack zastanawiał się, kto to taki.

– Olhard Olgerdsson – powiedziała Gwen.

– Mogłabyś przestać czytać mi w myślach?

– Przepraszam, to silniejsze ode mnie. Jak kogoś widzę, od razu próbuję zgadnąć, o czym ta osoba myśli. Zazwyczaj im ktoś jest mniej rozgarnięty, tym łatwiej.

– Dzięki. Kim był ten Olhardsson?

– Olgerdsson. Kupiec. Bardzo bogaty. W dużej mierze dzięki jego funduszom przystań w Thyholm wygląda, jak wygląda. Dorobił się na handlu węglem i do spółki z radą miejską sfinansował budowę portu. Sądziło się, że uda im się przewozić węgiel statkami i w ten sposób trafić na nowe, atrakcyjne rynki zbytu. Przez kilka lat wszystko szło zgodnie z planem, ale potem okazało się, że okoliczne złoża są mniejsze, niż zakładano. Kiedy tutejszym zaczęło się gorzej powodzić, Olgerdsson robił już rozmaite interesy w głębi kontynentu i zachował, a nawet pomnożył majątek. Mieszkańcy Thyholm poznali go wtedy jako filantropa: udzielał im bardzo nisko oprocentowanych pożyczek. Wielu ludzi przetrwało ciężkie chwile właśnie dzięki jego pomocy.

– Od tamtej pory chyba nie minęło tak dużo czasu – stwierdził Zack. – Co się z nim stało? Żyje jeszcze?

– Zginął ładnych kilka lat temu, gdy podróżował w interesach. Zdaje się, że gdzieś w okolicy Tycho. Jeśli wierzyć plotkom, przez jakiś czas był zamieszany w handel efemerydem.

Zack drgnął. Słyszał o efemerydzie. Ta tajemnicza substancja przypominała wyglądem rdzawą rtęć i podobno na każdego wywierała nieco odmienny wpływ. Trucizna dla jednych, dla innych cudowne panaceum; egzotyczny składnik narkotyku znanego jako dygot albo stymulant umożliwiający jasnowidzom ujrzeć przyszłość z niedostępną w innych warunkach klarownością i precyzją. Rozmaici zabi-

jacy chcieli widzieć w nim źródło sił witalnych, z kolei adepci okultyzmu wierzyli, że stanowi wzmacniacz aury i katalizator magicznych mocy. Byli i tacy, co mówili, że to właśnie efemeryd nadaje czerwonej nawiązy kolor legendarnym deszczom, które spadły na kontynent po zagładzie Port Covenant, i że to za jego sprawą na świecie pojawiali się odmienicy, ofiary rdzy. Efemeryd był fascynującą niewiadomą i dlatego wielu eksperymentowało z nim, mimo realnej groźby fizycznego bądź umysłowego kalectwa, niespodziewanych mutacji, a nawet śmierci.

– Ciekawe – stwierdził Alan, przyglądając się dziewczynie. – Skąd o tym wiesz?

– Słyszałeś kiedyś o gazetach?

Alan tylko się uśmiechnął.

– Zresztą – dodała po chwili – Olhard Olgerdsson dla nas też jest dość ważną postacią.

– Dlaczego?

Dziewczyna zerknęła na Lake'a, który ciężko westchnął, po czym udzielił odpowiedzi:

– Bo to właśnie posiadłość Olgerdssona kupił i mieszkał w niej przez ponad cztery lata Zair Ghan.

Czarnoksiężnik z Thyholm
Copyright © Marcin Rusnak
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Łukasz Matuszek
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2023 r.

książka ISBN 978-83-7995-734-7

ebook ISBN 978-83-7995-735-4

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Joanna Mika

Korekta: Bożena Walewska

Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Projekt okładki: Łukasz Matuszek

Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-432 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książkę i ebook najtaniej kupisz na madbooks.pl